

Helena Głogowska

Wspomnienie o śp. Profesorze Andrzeju Chodubskim

The Memory of Late Professor Andrzej Chodubski



Już prawie rok, jak nie ma Profesora Andrzeja Chodubskiego wśród nas. Miał zaledwie 65 lat. Nic i nikt nie jest w stanie zappełnić pustki powstałej po Jego śmierci. Czasem pojawia się w snach – tak jak dzisiaj: w czarnym płaszczu, w czarnym kapeluszu na głowie szedł w głąb Dolnego Miasta w Gdańsku. Gdy się obejrzał rozpoznaliśmy z córką Profesora. Ale on szedł dalej szybkim krokiem, a my idąc za nim straciłyśmy go nagle z oczu...

Na prośbę Profesora Ryszarda Skrzyniarza, kierownika Katedry Biografistyki Pedagogicznej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, spisałam trochę osobistych wspomnień o śp. Profesorze.

Informacja o śmierci Profesora Andrzeja Chodubskiego dotarła do mnie w czwartek 6 lipca 2017 r. koło południa. Z tą smutną wieścią zadzwoniła dr Beata Słobodzian – pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Politologii Uniwersytetu Gdańskiego, która tego dnia przyjechała do Profesora zobaczyć, co się stało, gdyż od rana nie dawał znaku życia. Tradycją w kręgu najbliższych znajomych Profesora stało się „dobijanie się” do Jego drzwi, gdy od nikogo nie odbierał telefonów. Zwykle wtedy kontaktowaliśmy się telefonicznie między sobą i często było tak: „Helena, mieszkasz najbliżej, pójdz zobacz,

* Helena Głogowska – dr hab., profesor na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, lenabia@interia.pl.

co się dzieje z Profesorem, zanim ja dojadę”. Tym razem od kilku dni byłam w rodzinnej Jaryłówce na Białostocczyźnie i w ramach relaksu i wytchnienia od zajęć dydaktycznych i nauki zbierałam porzeczkę. Zanim wybrałam się do ogrodu, próbowałam dodzwonić się do Profesora, ale nie odbierał telefonu. Wrzuciłam swój telefon do kieszeni w spódnicy i poszłam na „porzeczkobranie”. Zwykle zostawiałam telefon w domu, ale tym razem wzięłam go ze sobą, jakby mając przecucie, że może się przyda. Gdy z pełnym wiadrem wracałam do domu, zadzwonił telefon. Myślałam, że to Profesor. Dzień wcześniej tak było: nie mogłam się dodzwonić, ale potem profesor oddzwonił, że wraca z uczelni z obron prac. Myślałam, że tym razem również go usłyszę, ale zamiast Profesora usłyszałam dr Beatę Słobodzian z porażającą informacją: „Profesor nie żyje!”

Ostatnimi laty Profesor bardzo podupadł na zdrowiu – pracę serca wspomagał defibrylator, dokuczała cukrzyca, która atakowała wzrok, ale ciągle zachowywał witalność ducha i światłość umysłu. Ciągle był aktywny naukowo i dydaktycznie, a Jego dom był otwarty dla każdego, głównie szukającego u Niego wsparcia duchowego, a nawet materialnego. Przykro było patrzeć, jak wiele osób odsunęło się od Profesora, kiedy przez ostatnie miesiące wymagał On sam pomocy. Tych, na których pomoc mógł liczyć z trudem w gronie przyjaciół, policzyliśmy na palcach obu rąk. Profesor jak mantrę powtarzał: „Pamiętaj, im więcej komu pomożesz, tym więcej będziesz mieć wrogów”, „Za dobre uczynki nie oczekuj wdzięczności”. Niestety – sam tego doświadczył, zwłaszcza w ostatnich latach życia, o czym mówił z żalem i goryczą. Narzekał na aktualny stan nauki, zżerany przez „grantozę” i „punktozę”. Miał zamiar napisać o tym artykuł – zbierałam mu materiały o aktualnym stanie nauki. Szkoda, że nie zdążył. Powtarzał, że miarą uczonego jest jego praca naukowa, do której ciągle mobilizował innych. Wielokrotnie razem jeździliśmy na konferencje naukowe. Profesor uważał, że należy bywać na takich imprezach. Rok temu nie dotarł już do Lublina na konferencję biograficzną, organizowaną przez Katedrę Biografistyki Pedagogicznej KUL, ale dostał swój tekst. Świetnie z Profesorem dyskutowało się o wszystkim. Wspólnie odkryliśmy profesora Mitrofana Downara-Zapolskiego (1867–1934), jednego z założycieli uniwersytetu w Baku, który w 1926 r. przyjechał do Mińska i napisał „Historię Białorusi”, wydaną dopiero w 1994 r. w Republice Białoruś.

Należę do osób, którym Profesor pomógł bardzo w karierze naukowej. Byłam jego drugą doktorantką. Pierwszym był obecny Profesor Arkadiusz Żukowski z Olsztyna. Uważam, że miałam wiele szczęścia, że na swej drodze życiowej spotkałam Profesora Andrzeja Chodubskiego. Nie wiem, jak wyglądałoby moje życie,

zwłaszcza droga naukowa, gdyby nie On. Po ukończeniu Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych na Uniwersytecie Warszawskim w 1983 r. za sprawą męża trafiłam do Gdańska. Ponieważ pracę magisterską pisałam u Profesora Antoniego Rajkiewicza, zostałam zatrudniona na początku 1984 r. w Instytucie Nauk Politycznych Uniwersytetu Gdańskiego, którym kierował wówczas Professor Kazimierz Podoski – pierwszy doktorant mojego promotora. Nie mając żadnych znajomych w Gdańsku, także na Uniwersytecie czułam się obco, ale z pasją prowadziłam zajęcia z nauk politycznych na historii i filologii polskiej. Studenci tam byli ciekawi wiedzy z trochę innej dziedziny wiedzy niż studiowali. Po latach Wojciech Kass – poeta i dyrektor Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Praniu, dedykując mi swoją książkę o Czesławie Miłoszu, napisał: „z podziękowaniem za rzeczywiste wykłady w nierzeczywistych czasach”. Wtedy jeszcze nie było politologii na Uniwersytecie Gdańskim, a pracownicy Instytutu Nauk Politycznych UG prowadzili tzw. zajęcia usługowe na różnych kierunkach. Moją osobą w Instytucie żywo się zainteresowano – wszak nie skończyłam UG, a tu mnie zatrudniono, więc kim ja jestem? Studiowano dogłębnie mój kwestionariusz osobowy. Jednym ze „studiujących” był Professor Andrzej Chodubski, wówczas dopiero co po habilitacji o Polakach w Azerbejdżanie i po pobycie tamże na stypendium. Ponieważ w kwestionariuszu osobowym wpisałam wśród języków, które znam, białoruski, to najbardziej zainteresowało Profesora. Poprosił mnie o rozmowę, podczas której zadawał mi pytania, dotyczące moich zainteresowań naukowych. Gdy mówiłam mu o swych zainteresowaniach polityką społeczną, profesor twierdził, że w Polsce jest wielu specjalistów w tej dziedzinie, a tych, którzy znają język białoruski, jest niewielu. Wprawdzie język białoruski był moim językiem domowym i uczyłam się go w Szkole Podstawowej w Bobrownikach jako przedmiotu nadobowiązkowego w klasach II–VIII, ale nie czułam się znawcą problematyki białoruskiej – nie skończyłam przecież białorutenistyki! Wtedy zdawało mi się, że aby zajmować się tematyką białoruską, powinnam skończyć białorutenistykę na Uniwersytecie Warszawskim! A profesor usilnie namawiał mnie do samodzielnego studiowania – do poszukania literatury na temat Białorusi w Bibliotece Polskiej Akademii Nauk w Gdańsku. Tam trafiłam na pięciotomową „Historię Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej”, wydaną przez Akademię Nauk BSRR, na „Historię Białorusi” Marceliego Kosmana, ale nie przekonały one mnie do zainteresowania się tematyką białoruską. Unikałam Profesora, jak mogłam, by nie rozmawiać z nim na tematy białoruskie, a podczas spotkań broniłam się jak mogłam przed podjęciem badań

nad tematyką białoruską. Ale Profesor był nieustępliwy, radził, by poszukać czegoś jeszcze. Dla świętego spokoju poszukałam w Bibliotece PAN i znalazłam tam „Historię Białorusi” Usiewałada Ihnatouskiego, wydaną w Wilnie w 1929 r. i „Białoruski Chryścijanski ruch” ks. Adama Stankiewicza, wydany w Wilnie w 1939 r. Właściwie te dwie książki zadecydowały o wyborze moich zainteresowań badawczych nad tematyką białoruską na długie lata. Po ich przestudiowaniu poszłam do Profesora i powiedziałam, że będę zajmować się tematyką białoruską. Wtedy zaproponował mi pisanie pod jego kierunkiem rozprawy doktorskiej o przemianach kulturowych na Białorusi Radzieckiej w latach 1914–1929.

Początkowo mieszkalam w Hotelu Asystenckim, ale po urodzeniu drugiej córki Celiny wiosną 1986 r. wprowadziłam się do nowego mieszkania przy ulicy Kartuskiej w Gdańsku. Profesor zajął nasz trochę większy pokój w Hotelu Asystenckim. Ponieważ starsza córka Agata (rocznik 1980), chodziła do przedszkola przy Szpitalu Marynarki Wojennej, kilka miesięcy przed wakacjami nie chcieliśmy jej przenosić do innego – bliższego. „Wujek Andrzej” – jak Profesora nazywała Agata zobowiązał się od czasu do czasu odbierać ją z przedszkola i przywozić ją do nas, zwłaszcza wtedy, gdy osobiście nie mieliśmy takiej możliwości. Pewnego razu Profesor zapomniał, że miał odebrać dziecko z przedszkola, ale rezolutna Agata wiedziała, że tego dnia miał ją odebrać „wujek Andrzej”, więc Pani przedszkolanka odprowadziła ją do Hotelu Asystenckiego i obrzuciła różnymi inwektywami Profesora, że niepoważny, nieodpowiedzialny itp. Jak Profesor nie próbował załagodzić sytuacji, to i tak nie udało mu się przekonać Pani, że jest porządnym człowiekiem.

Dzięki Profesorowi, zaczęłam poważnie zajmować się tematyką białoruską. Każde ferie i wakacje wykorzystywałam na wyjazd do bibliotek i archiwów w Mińsku na Białorusi. Wiele pomogła mi Pani Docent Anna Wołoszenko z Uniwersytetu Pedagogicznego z Mińska, która pod koniec lat 80. była na kontrakcie w Gdańsku. To ona przysyłała mi zaproszenia i użyczyła swego mieszkania na pobyt w Mińsku. A mnie coraz bardziej fascynowała Białoruś w jej wymiarze historycznym i realnym. Poznałam wtedy wielu fantastycznych Białorusinów, zaangażowanych w białoruskie odrodzenie narodowe oraz uczonych, odkrywających nieznaną społeczeństwu historię swego kraju. Z Białorusi zawsze wracałam z „tonami” kserokopii i ciągle czułam niedosyt, a Profesor mobilizował mnie do pisania doktoratu. W końcu w 1995 r. udało mi się obronić doktorat z wyróżnieniem na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Przewodniczącym Komisji był Profesor Antoni Rajkiewicz, a w jej

składzie m.in. Profesor Witold Nieciński – obaj, jak się okazało z rodowodami białoruskimi, do czego przyznali się w czasie obiadu po obronie doktoratu.

W ciągu tych lat zaprzyjaźniliśmy się z Profesorem Andrzejem. Mój mąż, który był wówczas prezesem Patronackiej Spółdzielni Mieszkaniowej, dziwił się jak Profesor może mieszkać w Hotelu Asystenckim. Perspektywa na mieszkanie była zbyt odległa, mimo zgromadzonego na książeczkę oszczędnościowej wkładu. Mój mąż postanowił pomóc mu w utrzymaniu mieszkania. Na początku 1990 r. Profesor zamieszkał w nowo wybudowanym budynku przy ulicy Bądkowskiego 15. Od tej pory byliśmy sąsiadami na odległość jednego przystanku tramwajowego. Z okien naszego pokoju było widać okna Profesora. Początkowo podziwialiśmy, jak pracuje przy zapalonym świetle, a ostatnimi czasy zapalone światło było dla nas oznaką jego życia, bo nie zawsze Profesor odbierał telefony. Do Profesora można było pójść na kawę. Przez Jego mieszkanie przewijały się tłumy ludzi – studentów, naukowców, działaczy, osób potrzebujących. Czasami nie można było porozmawiać, gdyż jedni wychodzili, inni przychodzili. Dom stał otworem przed każdym. Aby nie mieć zaległości w pracy, Profesor zaczynał pracować o godzinie 5.00 rano. A potem ciągle przyjmował „interesantów”.

Po doktoracie, w 1997 r. otrzymałam propozycję pracy na etacie adiunkta w Katedrze Kultury Białoruskiej na nowo powstałym Uniwersytecie w Białymstoku. Zadzwoiła jej kierownik Profesor Elżbieta Smułkowa, która wybierała się do Rektora UWB z propozycją kadry, jaką chciałaby widzieć w Katedrze. Miałam dylemat, czy przyjąć tę propozycję, ale nigdy mi nikt nie proponował pracy, aż tu nagle! Skonsultowałam to z Profesorem Andrzejem Chodubskim, który również uznał to za sukces, mówiąc: „Wreszcie ktoś Cię docenił!”. Niestety musiałam się pożegnać z Uniwersytetem Gdańskim, gdyż nie mogłam pracować na dwóch publicznych uczelniach. Przez 16 lat jeździłam z Gdańska do Białegostoku. W tym czasie mogłam rozwijać swe zainteresowania białorutenistyczne, prowadząc zajęcia na białorutenistyce białostockiej. Katedra była silną jednostką pod względem naukowym, co nie wszystkim się podobało. W efekcie po 16 latach pracy, po zrobieniu habilitacji na podstawie rozprawy „Stosunki polsko-białoruskie w XX wieku. Od Imperium Rosyjskiego do Unii Europejskiej” (Białystok 2012), nie przedłużono mi zatrudnienia na Uniwersytecie w Białymstoku. W 2014 r. mimo pozytywnych opinii Profesora o mojej działalności naukowo-badawczej jako samodzielny pracownik naukowy zostałam zmuszona do poszukiwania pracy. Profesor również to przeżył, gdyż ciągle wierzył w moc nauki, jej obiektywną siłę, ale oceniając mniejsze ośrodki naukowe

w Polsce zwykł mawiać: „im mniejsza wieś, tym większy burdel”. Nie godził się na absurdy rządzące światem nauki. Generalnie sprzeciwiał się karierowiczom, ale nie potrafił nikomu odmówić pomocy. Pisał wiele recenzji, dostrzegając w publikacjach pozytywne ich strony. Nigdy nie napisał nikomu negatywnej opinii, chyba że wypowiedział słownie, że coś się nie nadaje na jakiś stopień naukowy. Był Człowiekiem wielkiego formatu, humanistą w każdym calu. O jego wielkości świadczy pozostawiony dorobek oraz tłum byłych studentów i znajomych na jego pogrzebie na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku.

Profesor szczególnie sentymentalnie darzył mniejszości narodowe oraz tematykę polonijną. Sam pochodząc z Mazowsza (urodził się w Grabienicach Małych), wszystkich wypytywał o pochodzenie. Gdy ktoś nie przyznawał się do swych korzeni, np. białoruskich, nazywał go „zaprzzańcem”. Kwestie tożsamości nurtowały go do tego stopnia, że wymyślił konferencje i publikacje poświęcone tożsamości kulturowo-cywilizacyjnej Gdyni oraz Pomorza. W 2012 r. w Olsztynie, gdzie byłam na konferencji z koleżanką katedralną dr Grażyną Charytoniuk-Michiej, absolwentką Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, z jej koleżanką Alicją Górniak i Profesorem umówiliśmy się na kawę na olsztyńskiej Starówce. Ponieważ Profesor o mnie i o Grażynie wszystko już wiedział, zaczął wypytywać Alicję o jej korzenie. Jakie było zdziwienie nas wszystkich, gdy w wyniku profsorskiego wywiadu okazało się, że jest ona bratanicą dawnej sympatii Profesora. Niestety o Profesorze za wiele nie wiedzieliśmy, nie opowiadał zbyt dużo o sobie, o swojej rodzinie. Miał zamiar o rodzinie napisać – było to ostatnie zadanie do zrealizowania. Zabrakło mu na to czasu. W jego pokoju stało zdjęcie przedwcześnie zmarłej matki – miała zaledwie 52 lata. W ostatnich latach wiele rzeczy go irytowało i przygnębiało. Często powtarzał: „Przecież ja umieram – czy ty to rozumiesz?” Ogromnym zaufaniem darzył osobistego lekarza doktora Damiana Odyę, który codziennie rano dzwonił do Profesora, sprawdzając, czy żyje.

Myszę, że wielu osobom brakuje cennych wskazówek oraz dosadnych, trafnych stwierdzeń Profesora, a Uniwersytetowi Gdańskiemu – oryginalnego wykładowcy. Gdy rozmawiałam z Profesorem pięć dni przed śmiercią mówiąc, że nie wiem, czy dobrze zrobiłam, że podjęłam decyzję o pracy na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy, usłyszałam jakże mądre zdanie: „Nigdy człowiek nie wie, czy podjął dobrą decyzję w życiu. Dopiero czas to pokaże”.

Gdańsk, 16 maja 2018 r.